

PROF. JAN KUROWICKI

Chrystus Król: witajcie w telenoweli!

Kiedy niedawno w Świebodzinie montowano 53-metrowego Chrystusa Króla, popadłem w zadumę. Nie tyle z tego powodu, że stanowi on dobrą, wizualną metaforę polskiej religijności: z zewnątrz widowiskowej i szablonowej; wewnątrz wypełnionej ciemną pustką wśród prozaicznych rusztowań. Popadłem w zadumę, bo jestem z tego miasteczka. Pobierałem wszak w nim nauki szkolne i zrobiłem maturę. A w międzyczasie (dzięki książkom i głośnikowi, który biednym zastępował wtedy radio) nauczyłem się mówić po polsku. Boć, gdy doń przybyłem tuż po wojnie w jednym z bydlęcych wagonów, jakimi na Ziemi Zachodnie przemieszczono repatriantów ze Wschodu, miałem kilka lat i paplałem tylko językiem „swojskim”, czyli mieszaniną białoruskiego i jakiejś kresowej odmiany ludowej polszczyzny. Różniłem się tym od przybywających tu z innych okolic kraju, mówiących inaczej i dla nas wszystkich obco.

Moja zaś rozległa, wielopokoleniowa rodzina była chłopska. Jak i podobne do niej, stanowiące miasteczkową większość, nie tylko zasiłała nieliczne fabryki i zakłady pracy w niewykwalifikowaną siłę roboczą, ale też prowadziła drobne gospodarstwo. Miała pole, świnie, drób. Chciała jednak, by, dzięki wykształceniu, dzieci „wyszły na ludzi”. I widziano ich przyszłość jako księży, urzędników czy lekarzy. Owe rodziny (wraz z moją) tkwiły jednak mentalnie w świecie wschodniej wsi. Bały się nowego, marzyły o powrocie „za Bug”. Modliły się o to. A czyniły to nie tylko w kościołach, ale i w domach przed kolorowymi obrazkami świętych lub figurkami Jezusa czy Matki Boskiej, które kupowano na jarmarcznych straganach od wędrownych handlarzy. Do dziś zresztą znajdują się one na honorowych miejscach w wielu świebodzińskich domach.

Nic jednak dziwnego, że między ich dziećmi a nimi narastało zwolna poczucie odrębności, dystansu, a nawet swoistej obcości. A też miasteczko i region, w którym było położone (Ziemia Lubuska) z istoty jawiły się jako nie do końca „swoje”. Z jednej wszak strony (dzięki szkole, książkom, radiu, gazetom) kształtowała się w ich pociechach już inna mentalność; z drugiej – region nie był ani dawną krainą zaburzańską, którą nauczyli się od dorosłych idealizować, ani Polską po prostu. Zostały one skazane na swoistą próżnię duchową i kulturowe wykorzenienie. Znajdowało to wyraz zarówno w sztubackich wygłupach, jak i przyptywach i odpływach żarliwej, czystej religijności. Objawiało się to nie tylko w domu, ale i w szkole czy podczas nabożeństw. Kształtowało też ambicje i dążenia, by robić coś, co w głowach ojców, matek i innych starszych tubylców nawet nie zaświtało. Niektórzy sprostali potem tym ambicjom, inni nie. Zastygli w miasteczku. Choć z zapuszczaniem

gdziekolwiek autentycznych korzeni (zwłaszcza kulturowych) i zapewnieniem tej próżni zawsze było nie najlepiej. Opisałem to zresztą dokładniej w wydanym w Ossolineum w 1981 roku tomie esejów pt. „Bez stałego adresu”.

Wielu z nich chciało coś w miasteczku zmienić. Powstawały dzięki nim towarzystwa miłośników Świebodzina, koła artystyczne i literackie itp. itd. Ale i wewnątrz niego i na zewnątrz znaczyło to niewiele. Gasło więc nie tylko w zwykłej małomiasteczkowej jednostajności i niemożności, lecz i w kontekście omszałych wzorów kulturowych, przywiezionych tu przez ich rodziców. Rok po roku tedy stawali się do nich podobni. Żenili się z żonami, jak śpiewała Sława Przybylska, podzieli dzieci, dorabiali się i święcili wszystkie dni w roku święte. Choć zawsze łatwo znajdowałem z nimi wspólny język, bo nadal brak było korzeni; próżnia zaś czała się tuż za plecami. Żyli w niej sami i uczyli żyć potomstwo – dzisiaj dawno dorosłe i traktujące świat dziadów i ojców, jak krainy mrzonek i baśni. Sam zaś Świebodzin, zwłaszcza, gdy wkoło niego zbudowano w latach siedemdziesiątych obwodnicę, zdawał się zapomniany przez Boga i ludzi. A kapitalizm, gdy przyszedł, też nie zmienił ich życia w coś szczególnie znaczącego.

Kiedy więc w Świebodzinie montowano niedawno 53-metrowego Chrystusa Króla, popadłem w zadumę. Pomyślałem sobie, iż to całkiem oczywiste i naturalne, że zdarzył się właśnie tu nawiedzony proboszcz, któremu **musiał** przysięść się Jezus, żądający swego pomnika pod postacią Chrystusa Króla. Już sam bowiem jego pomysł wpisywał się w od lat istniejącą aurę kulturową: obiecywał nowe korzenie i pełnię. Gdyby takiego duszpasterza nie było – trzeba by go wymyślić, na podobieństwo owego z „Ranczo” czy z „U Pana Boga za piecem”. Tylko bowiem on mógł coś takiego zrobić. I właściwie – **jedynie** to.

Proboszcz bowiem, jak dawni sekretarze komitetów powiatowych PZPR, prowadzi tu politykę kadrową. Kadry zaś, jak mawiał pewien zapomniany dziś klasyk, decydują o wszystkim. Dzięki temu zatem można było nie tylko znaleźć odpowiednich inwestorów, zgromadzić środki (ze „spontanicznych” datków), rozpocząć i zakończyć inwestycję. Można też było obejść ukradkiem przepisy, dotyczące zagospodarowania terenu i zabezpieczyć zgodny, urzędowy aplauz dla monumentu oraz uciszyć wszelkie sprzeciwy. A równocześnie tylko on, którego we śnie nawiedza sam Bóg, mógł przyzwolić, by mówiono, że posąg nie tylko na cały świat rozstawi Świebodzin, ale i stanie się źródłem dobrobytu, bo Chrystus Król zstąpi na świebodzińską ziemię także jako atrakcja turystyczna. Ten bowiem ewangeliczny „nielustnie” mawiał: „Spójrzcie na ptaki niebieskie: nie sieją, nie orzą a żyją”, więc śpi w niepamięci. Ten z postumentu zaś nie sprzeciwiał się sławie i ziemskiemu ubogaceniu mieszkańców, dzięki dyskotekom, barom i hotelom dla turystów.

Dobrze wiem, że nie ma już tego miasteczka z okresu mojego dzieciństwa i licealnej młodości. Nie ostał się też w swej pełni (może poza akcentem) dawny język repatriantów. A dzieci owych przymusowych przybyszów ze Wschodu już od jakiegoś

czasu dogorywają na nędznych rentach i emeryturach, oglądając telenowele i filmy przygodowe. Trwają jeno stare łęki przed nowym i wiara, taka sama, jak ich rodziceli, że trzeba i można wymodlić cud. Nie taki wszakże, co zapewni powrót do idealizowanego niegdyś kraju za Bugiem, ale taki, który pozwoli, by nie ruszając się z miejsca, **nie uciekając stąd, być poza nim i zarazem u siebie**.

Modlili się więc długo do kolorowych obrazków i gipsowych figurek Jezusa i Matki Boskiej oraz w kościołach. I stało się tak, jak w telenoweli. Zło przeminęło, dobro i miłość zwyciężyły. Cud się zdarzył! Nastął proboszcz, który ich wyniósł nawet ponad Rio de Janeiro! Gdy jednak montowano w Świebodzinie głowę czterystutonowego, wysokiego na 53 metry Chrystusa Króla, jeden z internautów napisał: „po co Świebodzinowi taki wielki piorunochron”. Nie wiedział jednak, bo był pewnie ubogi duchem, że potrzebny on po to, aby zabezpieczyć miasteczko przed gromami wykorzenienia, próżni wewnętrznej, niepewności i biedy.

Szalona to wszakże różnica, czy pomnik wynosi się ponad światową stolicę samby i karnawału; ponad wrzący tygiel różnic ekonomicznych, rasowych, kulturowych i religijnych, czy też przytłacza prowincjonalną, zapyziałą miścinę, zapomnianą przez Boga i ludzi, skazaną na ekonomiczną i kulturową degradację w przeciągach dzikiego kapitalizmu. Ponadto: to, na co w latach dwudziestych ubiegłego wieku stać było stolicę wielkiego kraju, dzisiaj znajduje się już w kręgu możliwości nawet małego, polskiego miasta. Nie dlatego, że stało się ono (proporcjonalnie) tak samo bogate, lecz z tej przyczyny, że aż tak spadły koszty produkcji takich monumentów. Na jego postawienie więc w Świebodzinie stać było teraz zaradnego proboszcza, który odpowiednio zaktywizował władze miasta i przykoślnie owieczki. To zaś, co ważne dla mentalności prowincjonalnej zyskuje wartość przede wszystkim przez porównanie z tym, co już istnieje w jakiejś metropolii lub jest w świecie jedyne.

Nie mają zaś znaczenia estetyka i walory artystyczne. I mieć nie muszą. W przedstawianym tu skrótowno kręgu kulturowym nie dopuszcza się do świadomości, że sztuka w dzisiejszym świecie zaczyna się od łamania szablonów i stereotypów; że jej wartość określa stopień oryginalności danego tworu. Nie dopuszcza się, boć taka sztuka musi być odrębna i obca wobec tego, co wspólnotowe; co jawi się, jako dla jego uczestników ładne, bo podobne do... (np. postaci ze świętego obrazka, gipsowej figury, znanej z rodzinnego domu) lub jakoś kojarzy się lub przypomina to, co znane, jak świebodziński Chrystus Król tego z Rio de Janeiro.

Zadumałem się nad tym wszystkim. Ale nie chciałem, aby te wyrwykowe wspomnienia i refleksje nad nimi w związku z świebodzińskim dziwolągiem łączone były z ironią wobec niego i wyśmiewaniem się. Gdyby bowiem pociągnąć te rozważania dalej, można odsłonić rzeczywisty grunt, na którym rośnie i rozkwita intelektualnie szokująca nie tylko polska religijność, lecz i ogólnopolska (tak samo prowincjonalna) prawicowość. Ale to już sprawa na osobne rozważania.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZEŁÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Joanna Grzanka, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, Stefan Pastuszewski, prof. Maria Szyszkowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Baborzyn 13, tel. (043) 677-41-56.